

Mateusz Matyszkowicz: Szatany smoleńskie

„Matka Joanna...” jest opowieścią magiczną, tworem imaginacji autora, która odpowiada kulturowym wyobrażeniom naszego dziedzictwa. Przy całym skomplikowaniu tej historii, zamotaniu wątków religijnych i egzystencjalnych, opowiadanie zaświadcza o sile polskiej polityki i kultury. W końcu chodzi o klasztor ufundowany przez samą królową, część jej odpowiedzialności za ziemie położone najdalej – pisał Mateusz Matyszkowicz.

Tak było w 1611 r., kiedy rozgrywa się akcja jednego z opowiadań Iwaszkiewicza. I tak było po 1943 r., gdy Goetel zaświadczył o odkrytych grobach w lesie katyńskim.

„Szatany, jak gdyby rozwścieczone przewagami ojca Suryna, powracały z większą jeszcze mocą” – działo się tam na samych kresach Rzeczypospolitej, w czasie panowania Jana III Sobieskiego. Ludyń (taki nasz Loudun) na ziemi smoleńskiej, klasztor z opętanymi siostrami i młody egzorcysta. To „Matka Joanna od Aniołów” Jarosława Iwaszkiewicza, pisarza, który przedwojennymi „Czerwonymi tarczami” zasłużył sobie na miano polskiego Jungera, po wojnie – wciąż literacko fascynujący, ale oportunistą. „Matkę Joannę...” napisał w czasie wojny, gdy temat demonicznego opętania był szczególnie ważny. Od przeznaczonej dla dzieci „Akademii Pana Kleksa” Brzechwy, po poważną, chwilami pornograficzną „Matkę Joannę”.

Opowiadanie nie cieszyło się uznaniem Kościoła. Silnie zarysowany dysonans między miłością boską i ludzką, między oddaniem Bogu i ludziom, wreszcie realizm opisu, który – za sprawą wyrazistości – chwilami przybiera formę wręcz parodystyczną, to wszystko musiało niepokoić kościelne władze. Zwłaszcza, gdy w latach 60. historia Iwaszkiewicza została przeniesiona na wielki ekran przez Jerzego Kawalerowicza. Wiernych proszono, aby unikali kin.

Sam Iwaszkiewicz, będący na bakier z ortodoksją, przyznawał się do katolicyzmu. Królowej Belgów wyznał kiedyś przewrotnie, że jest niepraktykującym katolikiem i niewierzącym komunistą. W „Dziennikach” wyznaje, że jest prawdopodobnie największym żyjącym pisarzem katolickim, ale nikt się o tym nigdy nie dowie. Zmagał się ze swoim homoseksualizmem. Interesowała go figura świętego, a zarazem pociągała go wiara nieco ciemna i trudna, co sprawiało, że tak bliski mu był Kierkegaard.

Polityczna Matka Joanna

Nie jest to jednak miejsce na odprawianie egzorcyzmów nad Iwaszkiewiczem. „Matka Joanna...” to rzeczywiście dzieło o dużym ładunku religijnym – pozytywnym lub negatywnym – i wreszcie próba naszkicowania pewnej antropologii. Ale ma ona wymiar jeszcze inny, który mnie tu interesuje. To jest wielkie opowiadanie polityczne.

Nie odczytuje się go w ten sposób, bo jest w nim ukryta ponura prawda o polskiej wyobraźni politycznej.

A więc w 1942 r. Iwaszkiewicz pisze opowiadanie o opętaniu na najdalszych Kresach dawnej Rzeczypospolitej, opętaniu w klasztorze, który w 1611 r. miała ufundować królowa Konstancja. „Pobożna królowa pewnego razu sama odwiedziła klasztor na dalekich kresach Rzeczypospolitej położony, ale trudy podróży w tak okropnych warunkach odbytej podkopały jej zdrowie i przyprawiły o długotrwałą chorobę. Zresztą, królowa pono niedobrą sobie obrała porę do podróży po błotnistych bezdrożach Smoleńszczyzny”. Zaznaczona tu tak wyraźnie odległość, której przebycie musi kosztować wiele, z pewnością zdrowie, a może i życie, opis skrzyżowania dróg: smoleńskiej i połockiej – to wszystko wskazuje przestrzeń, która została usunięta z polskiej wyobraźni.

Polska polityczność I Rzeczypospolitej była oparta na wyobrażeniu przestrzeni nieogarnionej. Sprawa kolonizacji najdalszych obszarów, jej gospodarczego, a po trosze i kulturowego wyzyskania, ustawiała aksjologię Rzeczypospolitej. Nieogarniona przestrzeń panowała nad umysłami – jej pragnienie kierowało obywateli na wschód, co wydawało się naturalne, skoro zabrakło możliwości ekspansji na zachód i południe. Więc przestrzeń w polskiej wyobraźni była z jednej strony nieodkryta.

Jezuita podbija Wschód

To nieodkrycie, a więc przestrzeń otwarta na ekspansję – teraz już prywatną, a nie w imieniu całej Rzeczypospolitej – to wszystko było źródłem magnackich potęg, ale też szansą dla przeludnionych terenów,

choćby Mazowsza, na zdobycie kawałka ziemi dla siebie. Kresy zatem to zarówno wielkie majątki magnackie z pysznymi pałacami, jak i prawie dzicz, nasz dziki Wschód.

Na ten dziki Wschód jedzie ksiądz Suryn, jezuita i egzorcysta. Twarde spotkanie z realiami ziemi smoleńskiej w karczmie. Tam chociażby zagrodowy szlachcic Wołodkowicz, który jeździ po odpustach, bo na ziemię, która i tak nie rodzi, szkoda czasu. Nieco przerysowana postać szlachcica ma skupiać w sobie główne przesłanie tej ziemi: jałowość i duchowe spustoszenie. Nierodząca ziemia i ubodzy w cnoty ludzie, karczmiarka-wróżbitka i przede wszystkim te opętane siostry.

Tę historię można ująć w ramy modnej dziś krytyki postkolonialnej. Mamy tu bowiem wzorcowy przykład tak zwanej orientalizacji. To, co na wschód, jest określane jako dzikie i nieracjonalne. Cała artystyczna aparatura pisarza skoncentrowana jest na budowaniu nastroju tajemnicy, pod suchym z pozoru opisem ukryte są silne emocje, to nieokiełznana natura buzuje tam w podziemiach i za zamkniętymi murami klasztoru. Obraz świata jest mocno nacechowany erotyzmem, co można uznać za kolejną cechę orientalizacji. Pod płaszczykiem zachodnich obyczajów i religijnych reguł wciąż skrywa się prawdziwa natura, która woli pozostać nieokiełznana i nieograniczona racjonalnymi regułami.

I wreszcie ksiądz Suryn, człowiek Zachodu, który temu nieokiełznaniu pragnie się przeciwstawić. Jedzie tam, na ziemię smoleńską, jako egzorcysta. Jest on przedstawicielem tej misji cywilizacyjnej, którą przyjęła na siebie Rzeczpospolita: wygnania diabłów ze swoich najdalszych wschodnich Kresów. Przyczółek zachodniej cywilizacji,

jakim jest klasztor sióstr urszulanek, ulega bowiem wschodniemu zepsuciu. Położony w oddaleniu od kulturowego i religijnego centrum nie chce przyjąć i utrzymywać reguły, która w karb bierze pierwotną naturę. Suryn ze zdziwieniem odnotowuje, że zakonnice wpuszczają w obręb murów mężczyzn, jedzą mięso i tańczą.

Wschodnia degeneracja

Egzorcysta walkę przegrywa. Sam tej sile ulega i przyjmuje szatana na siebie. Czyni to niejako w geście samopoświęcenia, ale dopisuje się w ten sposób do długiego szeregu ludzi Zachodu, których Wschód zdegenerował. Jego klęska to także klęska zachodniej i katolickiej misji cywilizacyjnej na smoleńskiej ziemi. Zarazem ta misja, już nieskonkretyzowana w literackim obrazie, ale ujęta najszerzej jak to możliwe, jako jeden z paradygmatów polskiej kultury, dziś jest coraz mniej zrozumiała.

Nie myślimy już o Smoleńsku jako Kresach Rzeczypospolitej, ale jak o ziemi zewnętrznej i obcej. Ta zmiana w kulturowej wyobraźni ma swoje konsekwencje polityczne. Smoleńsk nie jest już miejscem ekspansji zachodniego i polskiego żywiołu, ale zdaje się być kwintesencją wschodniości. Czas, kiedy ten paradygmat uległ zmianie, odpowiada okresowi, w którym Iwaszkiewicz pisał „Matkę Joannę”, bo ta historia z 1611 r. opisana została w czasie wojny przez pisarza z ducha i urodzenia kresowego. Był rok 1942 i to jest właściwy czas akcji w jej duchowym wymiarze.

Rok później inny polski pisarz, Ferdynand Goetel, zostaje poproszony o podróż na ziemię smoleńską. Odwiedza go urzędnik niemieckiej propagandy, bo w lesie katyńskim odnaleziono ciała polskich oficerów. Goetel ma jechać, a potem zaświadczyć. Wszystko, co stało się po świadectwie, które potem złożył, zmieniło całkowicie nasz stosunek do ziemi smoleńskiej i zapoczątkowało nowy paradygmat, w który żyjemy do teraz i konsekwencje którego ponosimy. I nie tyle literatura jest tu winna, ile twarda rzeczywistość.

„Matka Joanna...” jest opowieścią magiczną, tworem imaginacji autora, która odpowiada kulturowym wyobrażeniom naszego dziedzictwa. Przy całym skomplikowaniu tej historii, zamotaniu wątków religijnych i egzystencjalnych, opowiadanie zaświadcza o sile polskiej polityki i kultury. W końcu chodzi o klasztor ufundowany przez samą królową, część jej odpowiedzialności za ziemie położone najdalej. Koniec tej misji możemy wyczuć, wysnuć z indywidualnej historii księdza Suryna, ale w sensie ogólnym, ponadjednostkowym, ona trwa wtedy w 1611 r., poniekąd trwa też w 1942 r. w umyśle Iwaszkiewicza. Natomiast „Czasy wojny” Ferdynanda Goetla to suchy zapis polskości, która ulega duchowej i kulturowej katastrofie.

Rok później

Rozdział o roku 1943, który nas tu interesuje, rozpoczyna się od opisu centrum, od obrazu Warszawy, która żyje tak, jakby wojny nie było. Kwitło życie kawiarniane, powróciła umiarkowana równowaga w dostawie towarów. Choć książek oficjalnie się nie wydaje, antykwariaty przeżywają swój złoty wiek. Masowo wyprzedawane książki przez

jednych, oznaczają cenne i niespotykane zdobycze dla innych. Widoczna jest pewna dezynwoltura w stosunku do okupantów. Jeden z oficerów Kedywu brał ślub w kościele na placu Trzech Krzyży, jego żołnierscy koledzy przybyli na uroczystość w pełnym umundurowaniu. Skończyło się aresztowaniami i egzekucjami.

Więc to w takim czasie Goetla szuka urzędnik niemieckiego Propaganda-Amt, niejaki Grundman. Proponuje mu misję na Wschodzie. Goetel zgadza się wyjechać z grupą Polaków. Odbywa się najpierw spotkanie w Warszawie, w czasie którego Grundman przedstawia znany wówczas bieg wypadków. Notuje Goetel: „Relacja wygłoszona rzeczowo i bez napastliwych akcentów pod adresem Rosji, została przyjęta w milczeniu i nad stołem uniosła się na chwilę zaduma Polaków patrzących na swoje dzieje”. Wtedy coś musiało pęknąć w tych ludziach, którzy siedzieli przy stole w niemieckim urzędzie i dowiadywali się, że najdalsze Kresy dawnej Rzeczypospolitej były miejscem straszliwej kaźni. Nikt z nich jeszcze nie miał szansy przeczytać opowiadania Iwaszkiewicza, ale wszyscy musieli mieć tę samą polską formację polityczną i tak samo ukształtowane wyobrażenia o politycznej przestrzeni.

Relację Goetla należy uzupełnić o dopełniające ją świadectwo Józefa Czapskiego. Na polecenie gen. Andersa po układzie Sikorski–Majski Czapski jeździł po Rosji, od komendanta do komendanta, dobijał się do gabinetów decydentów i szukał świadków. Jego zadaniem było odnalezienie zaginionych jeńców wojennych. Miał ich listę, nie znał ich losów. Nie przeczuwał wtedy jeszcze, co stało się naprawdę. Natomiast Goetel już wiedział jako jeden z pierwszych Polaków. Po powrocie napisze raport do PCK i w szczegółach poinformuje władze państwa podziemnego.

Goetel jedzie na Wschód

W każdym razie wtedy, w 1943 r., Goetel jedzie na ziemię smoleńską, jak 400 lat wcześniej ksiądz Suryn. „Lądujemy w Smoleńsku w godzinach już popołudniowych” – zapisuje. Pokazują mu wykopane doły. Niemiecki lekarz opowiada o szczegółach.

„Coś kurczy się w nas i drży, gdyż profesor paru ruchami noża odłącza głowę od ciała i skalpuje ją, aby wskazać na wlot kuli w tyle głowy i wylot jej ponad czołem. A teraz nożyczki tną mundur i poszukują papierów. Są”.

Ten suchy opis ekshumacji w lesie katyńskim oznacza także zwrot w polskiej kulturze. Od tej pory ukrycie tajemnicy katyńskiej stanie się obsesją jednych. Podtrzymywanie zaś pamięci – życiowym celem drugich. Goetel dość szybko orientuje się w biegu wypadków, nasłuchuje bowiem sowieckiego radia. „Katyń i wszyscy w nim pochowani mieli być wyłączeni z biegu historycznych dochodzeń, a sprawa ich miała zawisnąć nad nowoczesnym światem jak mit”.

I tak to, co u Iwaszkiewicza było parabolą, duchowym opisem Kresów, stało się czymś do bólu dosłownym. Literackie diabły szalejące wokół Smoleńska nabrały ciała i rzeczywiście objawiły się na tej ziemi. Opis metaforyczny przestał być potrzebny. Zastąpiła go relacja z wydarzeń. Dawne formy ekspansji musiały zostać zastąpione nowymi. Ekspansja militarna i gospodarcza zastąpiona ekspansją moralną.

Wojna o Smoleńsk znów stała się walką o wartości cywilizacji zachodniej. Goettel opisał ją choćby w 1951 r. w londyńskich „Wiadomościach” w artykule „Zachód i Katyń”. Pisarz odnotowuje tam, że ukrycie prawdy katyńskiej jest moralnym zwycięstwem, jakie „odniósł ciemny zbrodniarz katyński, nad całym »oświeconym« światem zachodnim”. To jest zwycięstwo, „którego my, naiwni, impulsywni, romantyczni Polacy, zrozumieć nie chcemy i nie możemy”.

Mateusz Matyszkowicz

Tekst ukazał się w miesięczniku Nowe Państwo nr 8/2011